

mixer

magazyn studentów

akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

TERAZ
Kraków

Spis treści

KRAKOWSKA AKADEMIA

Herosi Krakowskiej Akademii ... 4

Popatrz na Tischnera. Swoimi oczami ... 5

TEMAT Z OKŁADKI

Wielkość ma znaczenie ... 6

Na zawsze Kraków ... 7

Zimowe marzenie ... 9

Hollywood pod Krakowem ... 10

ZACHOWANIA

Miłość czyli serce nie służy, ale M jak Mózg ... 12

SPORT

Na dobre i na złe ... 14

PODRÓŻE

Siempre Barça! ... 15

KOFEINA

Czy zjedlibyście mózdek kury? ... 16

SZTUKA

Sztuka mięsa ... 18

IKONY POPCOOLTURY

John Lennon ... 20

RECENZJE ... 21

NOWOŚCI ... 22



DZIENNIK POLSKI

28 marca „Mixer”
zadebiutował swoją
kolumną na łamach
Dziennika Polskiego!
Kolejnych numerów
szukajcie w każdy
ostatni czwartek
miesiąca!



REDAKCJA:

Redaktor naczelny:

Maciej Saskowski
macieksaskowski@op.pl

Zespół:

Beata Buc
Sebastian Dobrowolski
Dawid Dybiec
Anna Grońska
Anna Kamińska
Grzegorz Łyko
Paulina Pabian
Piotr Skwarczyński
Kinga Szydło

Numer współtworzyli:

Katarzyna Bialek
Jakub Harańczyk
Iga Serwińska
Jakub Sołtysik

Okladka

FOTOGRAF:

Patryk Tomaszewski
(mannequin-photography.pl)

WIZAŻ I STYLIZACJA:

Agnieszka Krzyżowska

MODELKA I AUTORKA STROJU:

Anna Pabis

MIEJSCE:

Cafe Mlynek, Plac Wolnica 7

OPRACOWANIE GRAFICZNE:

Mariusz Englert

Dtp i layout

Mateusz Janusz
(hussars.pl)

Adres

mixer_ka@interia.eu

Druk

Drukarnia KTE

Nakład

1000 egzemplarzy

Opieka redaktorska

Dariusz Baran
(Wydział Zarządzania i Komunikacji Społecznej)

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.

Dołącz do REDAKCJI

Pisz na adres: mixer_ka@interia.eu

facebook

Mixer magazyn studentów
Krakowskiej Akademii

W KRAKOWIE ZOBACZ SMOKA!



Ukształtowana w okresie miocenim (najprawdopodobniej około 12 milionów lat temu) obszerna jaskinia pod Wawelskim Wzgórzem, jak chce legenda, była w czasach księcia Kraka siedliskiem smoka. Po raz pierwszy wzmianka o wawelskim smoku pojawia się w *Kronice Polskiej* krakowskiego biskupa Wincentego Kadłubka. Zwierzę to, nazywane przez Mistrza Wincentego „całożercą” miało niepohamowany apetyt: „Żarłoczności jego każdego tygodnia według wyliczenia dni należała się określona liczba bydła. Jeśliby go mieszkańcy nie dostarczyli (...) to byłiby przez potwora pokarani utratą tyluż głów ludzkich”. Po nieudanych próbach walki wręcz, synowie Kraka podsuwają smokowi skóry bydłec wypchane zapaloną siarką, od których potwór dusi się i zdycha. Pokonawszy bestię, młodszy syn zabija starszego i obejmuje królestwo. Na skale nad jaskinią wzniesione zostaje miasto. „Niektórzy nazwali je Krakowem od krakania kruków, które zleciały się tam do ścięcia potwora”. Tyle Kadłubek. W wydanej w roku 1550 w Bazylei *Kosmografii* Sebastiana Munstera znajduje się najstarsze przedstawienie Smoczej Jamy oraz jej lokatora. Na drzeworycie tym, bestia wypełniającą niemal cały otwór jaskini, ugania się za owcami i pilnującym ich pastyrkiem. Ludowa wersja legendy jako zabójcę smoka wymienia zdolnego pirotechnika-amatora, szewca Dratewkę.

W XVII wieku w Smoczej Jamie otwarto niezmiernie popularny lokal gastronomiczny, który działał z przerwami aż do lat siedemdziesiątych następnego stulecia. Dogodne położenie wśród zabudowań Podzamcza, rozciągającego się poniżej Wawelskiego Wzgórza, dzielnicy zamieszkiwanej przez rybaków i służbę dworską, zapewniało stały dopływ amatorów mocnych trunków, a także klientów funkcjonującego w niej domu publicznego, nazywanego wówczas zamtuzelem. W wieku XIX Smocza Jama popada w zapomnienie, a po zajęciu Krakowa przez Austriaków i przekształceniu Wawelu w cytadelę, staje się miejscem trudno dostępnym, odwiedzanym tylko przez nadzwyczajnych gości (np. w 1851 r. przez cesarza Franciszka Józefa). Po odzyskaniu niepodległości jaskinię udostępnia się zwiedzającym. W 1972 r. przed wejściem do groty ustawiona zostaje odlana z brązu rzeźba smoka, autorstwa Bronisława Chromego. Z paszczy posągu co kilka minut bucha ogień (w czasie stanu wojennego, smok nie „ział ogniem”, bo z oszczędności odcięto gaz).

Kilka lat temu twórcza inicjatywa krakowskich graficiarzy przyćmiła jednak swym rozmachem nie tylko wszystkie dotychczasowe działania Smoka, ale także stała się kolejną artystyczną wizytówką miasta. Niedaleko miejsca, w którym rzeka Wilga wpada do Wisły, na murze Bulwaru Wołyńskiego, powstał bardzo ciekawy mural, o którym, do tej pory, wie niewielu krakowian. Jest to **smok wawelski**, którego postać została stworzona poprzez złożenie elementów architektonicznych miasta Krakowa. Jego nos to Kaplica Zygmuntowska, na ogonie możemy podziwiać dawne, nieistniejące już baszty z murów obronnych, a grzbiet składa się m.in. z Barbakanu, Bramy Floriańskiej i fasad i krakowskich kościołów. Mural został wykonany z okazji **parady smoków**, która co roku organizowana jest w Krakowie.

Z czasem mural trochę zbladł, ale wciąż miło się na niego patrzy. Jest tak niezwykły, że nawet wandalę dali mu spokój. No cóż, najwyraźniej z Bulwarem Wołyńskim im nie po drodze. Przynajmniej od tej właściwej strony. Mam wrażenie, że nie tylko wandalę tak mają, bo o smoczym dziele niewiele się słyszy.

Maciej Saskowski
REDAKTOR NACZELNY MIXERA

Herosi Krakowskiej Akademii

Świetnym, trzecim miejscem zakończyła swój udział w Akademickich Mistrzostwach Polski, reprezentująca Krakowską Akademię drużyna futsalu mężczyzn. Podczas rozegranej pod koniec lutego w Lesznie imprezy, nasi piłkarze halowi zanotowali jeden z największych sportowych sukcesów w dziejach uczelni, przegrywając jedynie ze zwycięzcą całego turnieju, czyli drużyną z tarnowskiej PWSZ. Wynik, jaki osiągnęła ekipa prowadzona przez Marka Salamona, dodatkowo pozwolił na zajęcie pierwszego miejsca w kategorii wyższych szkół niepublicznych. Tym samym, kolekcja trofeów powiększyła się o kolejne medale i puchary zdobyte przez studentów. Choć uczelnia istnieje dopiero od kilkunastu lat, reprezentującym ją zawodnikom dosyć szybko udało się zaznaczyć swoją pozycję w kilku dyscyplinach. Wszystko za sprawą działającego w jej obrębie Akademickiego Związku Sportowego.

Futsallowcy stanęli na najniższym stopniu podium w składzie: Piotr Buc-ki, Kamil Krawczyk, Piotr Krawczyk, Damian Kubera, Damian Kuc, Michał Nawrot, Mateusz Nosek, Patryk Oraczewski, Tomasz Pacyga, Maciej Podsiadło, Kamil Sekuła, Andrzej Seweryn, Michał Spasiuk i Jakub Wałach. Oprócz sukcesu związanego z ich znakomitą występem, KA może poszczycić się również osiągnięciami wywalczonymi w siatkówce mężczyzn i koszykówce kobiet – w obu tych dyscyplinach zawodnicy i zawodniczki zwyciężali w Małopolskiej Lidze Akademickiej. Jeśli chodzi o sporty indywidualne, tutaj triumfy święcili przedstawiciele m.in. kolarstwa, pływania, lekkoatletyki (biegi, wielobój gimnastyczny), sportów walki (judo, karate), a nawet dyscyplin zimowych – takich jak narciarstwo alpejskie czy snowboard. Z bardzo dobrej strony pokazali się siatkarze plażowi – Karol Szczepanik i Mateusz Mrozowski, którzy reprezentowali uczelnię podczas Akademickich Mistrzostw Europy w 2010 roku w rosyjskim Kazaniu, zajmując tam wysoką, piątą lokatę. Ponadto, w gronie znanych i utalentowanych sportowców, jacy kształcili się na naszej uczelni, znaleźli się m.in. szpadzistka Mo-

nika Żola, piłkarz Adam Kokoszka, kierowca rajdowy Michał Kościuszko, czy olimpijczyk z Pekinu – kajakarz górski Dariusz Popiela.

Należący do Krakowskiej Akademii AZS powstał w drugim roku istnienia uczelni i pierwotnie skupiał w swoich szeregach niewielu członków. Organizacja ciągle się rozrasta, obecnie licząc ponad 200 osób biorących regularnie udział w zajęciach sportowych. Poza wymienionymi dyscyplinami, klub, którego Prezesem jest Marek Grzelak, oferuje też możliwość uczestniczenia m.in. w sekcjach tenisa stołowego, sportów siłowych, oraz jazdy konnej. Oprócz rywalizacji pomiędzy poszczególnymi wydziałami, zespoły studenckie co roku biorą udział w rozgrywkach na szczeblu wojewódzkim (Małopolska Liga Akademicka), a także – w przypadku zajęcia odpowiednio wysokiego miejsca w regionie – w mistrzostwach polski. Jak pokazało zdobycie brązowego medalu przez futsallowców w Lesznie – niemal za każdym razem odnosząc znaczące sukcesy. Postęp, jaki w sporcie poczyniła KA, jest w dużej mierze zasługą programu stypendialnego dla zdolnych studentów, oraz władz uczelni, które pomagają finansować odpowiednie zaplecze treningowe. Sporo daje również współpraca różnymi z instytucjami, takimi jak np. Klub Sportowy Korona Kraków, gdzie odbywają się zajęcia z pływania.

Jeszcze dziesięć lat temu Krakowska Akademia była nowopowstałą uczelnią, z niemal zerowymi osiągnięciami w sporcie. Teraz, dzięki dobrym wynikom uzyskiwanym przez studentów, stała się placówką, mogącą z powodzeniem rywalizować z wyższymi szkołami w całym kraju. Mimo, że inne uczelnie w Krakowie dysponują o wiele lepszymi warunkami potrzebnymi do uprawiania sportu, kilka czynników sprawiło, że to właśnie KA rozwinęła się tak bardzo na przestrzeni ostatniej dekady. Świetne starty zawodników są jedną z atrakcyjniejszych form promocji dla uczelni. Pomijając jednak kwestie marketingowe, przede wszystkim chodzi tutaj o rozwój fizyczny studentów i podnoszenie ich sportowych umiejętności. W końcu przecież, jak wszyscy wiedzą – sport to zdrowie. A rozgrywki, w których uczestniczą zawodnicy, mogą dostarczać zarówno pozytywnej rywalizacji, jak i dobrej zabawy. W nowym sezonie z pewnością możemy spodziewać się kolejnych sukcesów. Ekipy koszykarek, siatkarzy i futsallowców są w stanie podtrzymać solidną dyspozycję z poprzednich lat, rozgrywając dobre mecze w regionie, a nawet na poziomie ogólnopolskim. Także zawodnicy reprezentujący pozostałe dyscypliny mają odpowiednie predyspozycje do tego, aby dzięki ciężkiej pracy i odrobinie szczęścia zająć naprawdę wysoko.

Piotr Skwarczyński



Zaskakująca i wzruszająca filmowa opowieść
o „góralu w sutannie” już w kinach

Popatrz na Tischnera. Swoimi oczami

Wielcy ludzie, odchodząc, zostawiają po sobie artykuły, książki, wywiady, nagrania. Z pewnością jednak najcenniejszym źródłem informacji są wspomnienia tych, którzy znali ich zanim dowiedział się o nich świat.

Reżyser i dziennikarz Szymon J. Wróbel, absolwent Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, postanowił – bez naukowych analiz i pokazywanych po tysiącokrotnie archiwalnych zdjęć – opowiedzieć o jednej z najważniejszych postaci w polskim Kościele. W dokumencie „Jego oczami” patrzymy na księdza Józefa Tischnera z perspektywy jego o 15 lat młodszego brata – Kazimierza. Mamy możliwość zagłębienia do, zamkniętych dotychczas dla mediów, przestrzeni wspomnień. Podobnie jak w opowiadającym o Janie Pawle II filmie „Świadek”, osią narracji jest tu rozmowa z bliskim zmarłego, choć reżyser zrezygnował z pokazywania przeszłości. Postać księdza profesora jest obecna, trzynastcie lat po jego śmierci, nie dzięki wyświetlaniu znanych już fragmentów nagrań, ale dzięki pamięci innych. Ten śmiały krok reżysera nadaje obrazowi nową jakość. Nie jest

to film wspominający Tischnera, ale obraz pokazujący świat po Tischnerze. Jak sytuacja polskiego Kościoła wygląda dzisiaj? Czy byłaby inna, gdyby bohater „Jego oczami” wciąż był wśród nas?

Zarówno reżyser filmu, jak i występujący w nim, związany z „Tygodnikiem Powszechnym”, ksiądz Adam Boniecki, stwierdzają, że w dzisiejszych czasach, w obliczu nowoczesności i nieuchronnych przemian, brakuje duchowego przewodnika, jakim był ksiądz Tischner. Osoby, która nikogo nie ocenia, nie wywyższa się i potrafi mówić o Bogu w sposób zrozumiały dla wszystkich. Ks. Tischnerowi nie brakowało werwy, aby walczyć o swoje poglądy, nawet i te zbyt nowoczesne dla skostniałych instytucji Kościoła. Jak mówi Szymon J. Wróbel: Dziś Tischner potrafiłby zadać kilka niezwykle ważnych pytań dotyczących Kościoła, których episkopat nie mógłby zignorować.

W swojej kapłańskiej misji Józef Tischner wołał być blisko ludzi, zamiast zamykać się na problemy, wychodził im na spotkanie. Z łatwością docierał do młodzieży, potrafił pogodzić ich spojrzenie na życie z wiarą. Dziś brakuje takich osób. Duchowni zamiast przybliżać Boga młodym budują – z zakazów, nakazów i krytyki – mur, który coraz mniej osób próbuje przebić.

W pewnym sensie film stara się nawiązać do tischnerowskiej misji, ponieważ, jak mówi jego twórca, chce żeby wychodząc z kina, ludzie poczuli się lepiej, założyli kierpce, wzięli ciupagę, gitarę, krzyknęli: „Hej!”, i szli do przodu przez swoje życie z podniesioną głową, bez względu na sytuację, żeby pomyśleli „skoro ks. Profesor dał sobie z tym radę, to ja też sobie z tym poradzę”. Nie bez znaczenia jest także przewijająca się w całej produkcji góralskość. Można odnieść wrażenie, że na Podhalu wierzy się inaczej. Na wysokich szczytach Tatr łatwiej poczuć obecność Boga. Tak jakby „wierzyć” było równie proste jak „być”. Czy po obejrzeniu 100 minut z bratem księdza spojrzymy na świat inaczej?

Beata Buc



Na planie filmu „Jego oczami”

fol. Dorota Ankudowicz

Wielkość ma znaczenie

Wybierając się na studia, sugerujemy się wielkością miasta, ponieważ tylko duże gwarantuje szeroką paletę uczelni, a co za tym idzie także kierunków. Sentymenty schodzą na dalszy plan, a tak naprawdę wybór miejsca zależy od tego, gdzie nas przyjmą, niedużej odległości od rodzinnego miasta oraz sąsiedztwa znajomych. Po studiach przyjdzie nam jednak zdecydować, gdzie osiąść na stałe i zapaść korzenie.

Dla mieszkańców Krakowa wybór jest oczywisty. Większość z nich wiąże swoją przyszłość ze stolicą Małopolski. Wpływa na to przyzwyczajenie do wielkomiejskiego zgiełku oraz fakt, że w tak dużej aglomeracji wszystko jest „pod ręką”: sklepy, instytucje kulturalne (kino, teatr, opera) oraz wspomniane szkoły wyższe i wiele innych. W zasadzie można by było nigdzie się stąd nie ruszać, skoro wszystkie potrzeby można zaspokoić na miejscu, łącznie z obcowaniem z naturą w Parku Jordana, na Plantach czy Bulwarach Wiślanych. Każdy znajdzie coś dla siebie: panowie – stadiony Cracovii, Wisły, Hutnika (niepotrzebne skreślić), panie – centra handlowe, jak na przykład: Bonarka, Galeria Kazimierz i Krakowska.

Niestety jest i druga strona medalu. Kraków to miasto o najwyższym w Polsce wskaźniku tzw. pyłu zawieszonego w powietrzu. Bije na głowę nawet Katowice, Bytom i Dąbrowę Górniczą. Naukowcy, dla uwypuklenia tego problemu, zdążyli już ukuć termin „katar krakowski”. Poza tym koszty życia w Krakowie są wysokie, nie mówiąc już o poważniejszych decyzjach finansowych, jak kupno mieszkania czy domu. Istotną kwestią pozostaje także system komunikacyjny, który często nastrocza trudności, i to w mieście zamieszkiwanym przez ponad 700 tys. mieszkańców. W rankingach najbardziej zakorkowanych miast Europy, Kraków zajmuje dziesiąte miejsce. Odciążeniem może być komunikacja zbiorowa (podobno najlepsza w kraju). Dochodzą jeszcze wrażenia estetyczne – wedle obiegowych opinii jest to najładniejsze miasto w Polsce, choć oczywiście nie wszyscy muszą się z tym zgodzić.

A jak wypadłoby porównanie Krakowa z miastem 10-krotnie mniejszym? Na przykład z Zawierciem. Generalnie trudno się rozpisywać o tak skromnym mieście. Jego historia związana była z inwestycjami przemysłowymi, z których nie zostało nic poza koleją żelazną z okazałym

budynkiem dworca, wybudowanym dla pierwszej, słynnej warszawsko-wiedeńskiej linii kolejowej. No tak, ale tamten pociąg jeździł też przez Kraków, więc obydwie dworce architektonicznie się nie różnią. Ponadto od niedawna miasto może się pochwalić nową fontanną, o której lokalni patrioci mawiają, że to druga najładniejsza na świecie, po tej w Barcelonie. Miejmy nadzieję, że nie podzieli losu radzionkowskiej, której roczne utrzymanie w wysokości miliona złotych „rozłożyło” miejski budżet.

Dzisiaj Zawiercie jest miastem bez perspektyw. Po tym jak 20 lat temu upadła „Stara Bawelna” i pracę straciło ponad 8000 ludzi, widmo bezrobocia nieustannie zagląda mieszkańcom w oczy. Tylko „Huta Zawiercie”, podobno jedna z nielicznych rentownych w Polsce, gwarantuje jako takie zatrudnienie dla niespełna 60-tysięcznego miasta. Miejscowi cieszą się tym, co mają, czyli kameralnością, tańszym życiem i uroczą okolicą (skały z okresu jury, ruiny zamków, jaskinie). Choć Zawiercie jest reklamowane jako „miasto dobrych połączeń” to nie ma w nim nawet komunikacji miejskiej, gdyż tutejszy przewoźnik zbankrutował.

Sklepy są słabo zaopatrzone i w przypadku nieco „ambitniejszych” zakupów trzeba udać się do Katowic, Częstochowy czy... Krakowa. Miejsc do spędzania wolnego czasu jest również niewiele. Są co prawda hale sportowe, basen, kręgielnie, w zimie lodowisko, a w lecie korty tenisowe, ale już dyskoteki w zasadzie nie istnieją, a ta która przetrwała serwuje na okrągło *Ona tańczy dla mnie* i podobne hity.

Z pewnością przewaga małego miasta wynika z tych rzeczy, których brakuje w dużym. I tak w przykładowym Zawierciu na przejechanie centrum w szczycie wystarczy 20 minut, nie ma takiego smogu, hałasu, cen, tylu ludzi. Innymi słowy – całej wielkomiejskiej intensywności. O ile Kraków określa się sam przez się, również jako nowoczesna metropolia, o tyle Zawiercie jest atrakcyjne przez pryzmat okolic. To prowincja, gdzie można znaleźć swoje miejsce z uroczą położoną działką w sąsiedztwie lasów, ostańców i świętego spokoju, który przyjdzie nam docenić z biegiem lat, a zgiełk odczuwać tylko w dzień powszedni. Dla rozdartych mam dobrą wiadomość: z Zawiercia do Krakowa jest raptem 70 km...

Jakub Sołtysik

Na zawsze Kraków

Jak pisał Józef Ignacy Kraszewski „Kraków nie zmienił wcale oblicza swego starego, jest czym był, owym relikwiarzem na piersiach Polski... Tylekroć na próżno malowanym, bo go ani ołówek, ani pióro Kramera, wielkiego artysty słowa, nie pochwyciło, tak całym a dziwnym a osobliwie i po swojemu pięknym, jak on jest”. Choć słowa te zostały napisane ponad sto lat temu, nie straciły nic ze swej aktualności.

Kraków ma niezwykłą magię. Po raz pierwszy poczułam ją bardzo dawno temu, kiedy – mając 7 lat – przyjechałam tu ze szkolną wycieczką. Największe wrażenie zrobił na mnie wtedy oczywiście smok wawelski – zięjący ogniem, wielki, niezwykle tajemniczy i budzący respekt. Jako dziecko zachwyciałam się jego kolorowymi podobiznami na specjalnych linkach, pozwalających na poruszanie zabawkami. W tej wersji nie budziły już we mnie strachu – wręcz przeciwnie, wywoływały przyjemne uczucie i znalazły się wśród symboli, które zawsze będą przypominały mi Kraków. Z każdą kolejną wyprawą do grodu Kraka odkrywałam kolejne zakątki i miejsca budzące zachwyt.

Kiedy miałam około 10 lat, do moich rąk – zupełnie przypadkiem – trafiła baśń krakowskiej, niestety nieżyjącej już pisarki i dziennikarki Doroty Terakowskiej „Władca Lewawu”. Główny bohater, osierocony Bartek, w podziemiach Wawelu odkrywał inny świat, w którym wszystko było lustrzanym odbiciem Krakowa. Książka wywarła na mnie duże wrażenie, miasto stawało się coraz bliższe memu sercu. Dzięki niej zaczęłam wnikliwiej przyglądać się temu miejscu i planować kolejną wycieczkę. Odwiedziłam Wawel, a w mojej pamięci pozostały przestronne, bogate komnaty i... ogromne pantofle, zupełnie niepasujące do mojej małej wtedy stopy. Zwieńczeniem wizyty na Królewskim Wzgórzu było „spotkanie” z Dzwonem Zygmunta. Niestety

mimo wypowiedzianego w jego obecności życzenia, aby jak najszybciej powrócić do Krakowa, nastąpiło dłuższe rozstanie...

W wieku 17 lat podjęłam decyzję, że jak studia, to tylko tam – w magicznym miejscu z lat dzieciństwa. Nie ważny był kierunek: medycyna, handel zagraniczny, polonistyka... Liczyło się miejsce, do którego za każdym razem powracałabym z wielkim entuzjazmem i opuszczałabym z tęsknotą, niosącą ze sobą nadzieję na kolejne spotkanie. Mimo że znacznie bliżej miałam chociażby do Tarnowa, wybrałam Kraków. To tak, jak z miłością. Cóż znaczą tysiące osób wokół nas, gdy brak wśród nich tej jednej jedynej?

Dziś, mając 23 lata, studiuje w Krakowie, tak jak sobie wymarzyłam wiele lat temu. To właśnie tutaj poznałam mnóstwo wspaniałych i nietuzinkowych ludzi, których śmiało mogę nazwać przyjaciółmi. Moja dawna miłość nie straciła na sile i za każdym razem, gdy tu przyjeżdżam, nieustannie zachwycam się pięknem każdego zaułka, majestatem Zamku Królewskiego, pięknem Kościoła Mariackiego, krakowskiego Rynku, gdzie zawsze można spotkać radosnych ludzi. To nie przypadek, że Kraków przyciąga ich tylu, w tym mnie. I nawet jeżeli nie przypadnie mi w udziale pozostać tu na stałe, z pewnością będę powracać. To miasto, ze względu na niezapomniany klimat i duszę, na zawsze będzie miało szczególne miejsce w moim sercu. Ponadto – abstrahując od mojego sentymentalnego podejścia, Kraków oferuje młodym ludziom bardzo wiele. Przede wszystkim umożliwia lepszy start w dorosłe życie, ze względu na dobrze przygotowane uczelnie, a także „wstrzykuje” ogromną dawkę szeroko pojętej kultury.

Paulina Pabian

Wiecej niż mecz...

foto Grzegorz Lyko

„Wojna, dzielnice, maczety”. Takie właśnie hasła pojawiają się po wpisaniu do wyszukiwarki internetowej nazw dwóch krakowskich klubów piłkarskich – Cracovii i Wisły. A przecież to tylko rywalizacja sportowa. Nic bardziej mylnego. Niekiedy można odnieść nawet wrażenie, że mecz schodzi na drugi plan, a prawdziwa rozgrywka toczy się poza stadionem.

Na całym świecie derby miasta są – używając terminologii służb porządkowych – meczem podwyższonego ryzyka. Natomiast dla kibiców, przede wszystkim, świętem piłkarskim. Obok takiego spotkania nie można przejść obojętnie, a jego atmosfera przeciąga się aż do kolejnego starcia. W tym czasie, przeciętny Kowalski będzie nękał swojego sąsiada, sympatyzującego z przeciwną drużyną, ironicznym pytaniem: „Jaki był wynik?”

Fani Wisły przez swoich wrogów nazywani są „psami”, ci z Cracovii – „Żydami”. Wiadomo, że „entuzjaści” obu klubów nie palają do siebie miłością. Jednak w stolicy Małopolski wszystko rządzi się innymi prawami, niż w pozostałych polskich miastach... „Święta wojna”, jak popularnie nazywa się derby pomiędzy Cracovią i Wisłą, to bez wątpienia starcie, na które kibice czekają od początku każdego sezonu. Pierwsze oficjalne spotkanie lokalnych rywali, zakończone remisem 1:1, odbyło się w 1908 roku. W 2004 roku, po długoletniej nieobecności Cracovii w Ekstraklasie, wróciły one na polską scenę piłkarską.

Zarówno w Krakowie, jak i jego okolicach, można zobaczyć hasła nawołujące do miłości do jednej z tych drużyn lub obrażające rywali. Niezależnie od miejsca, nie lada sztuką jest wybrnąć z „niewygodnego” pytania: „Za kim jesteś?”, ponieważ powszechnie wiadomo do czego zdolni



są kibole obu drużyn. Wojna nie ustaje nawet, gdy brak bezpośrednich starć sportowych, ze względu na absencję ekipy z ulicy Kałuży w rozgrywkach Ekstraklasy. Przez cały czas słyszymy o ustawkach, nowych przyspiewkach, a także o tragicznych skutkach „rywalizacji” fanatyków obu zespołów. Obiekty zwaśnionych drużyn znajdują się po obu stronach krakowskich Błot. Można byłoby je porównać do dwóch średniowiecznych zamków, których żołnierze chcą zająć twierdze przeciwnika.

Warto podkreślić, że nawet jeden z największych Polaków w historii naszego kraju, Jan Paweł II, był zapalonym kibicem sportowym, sympatyzującym z Cracovią. Wydawało się, że jego śmierć może wpłynąć na pojednanie zwaśnionych drużyn. Wszyscy mamy w pamięci mszę, jaką zorganizowali po jego odejściu fani Cracovii i Wisły, podczas której można było usłyszeć przyspiewki: „Nie ma lepszego od Jana Pawła III!” czy „Każdy to powie, Wojtyła rządzi w Krakowie”. W tej uroczystości wzięli udział także kibice innych krakowskich klubów, takich jak Hutnik czy Garbarnia. Wielu jej uczestników podkreślało, że to koniec owianej złą sławą lokalnej wojny. Niestety był to tylko chwilowy, symboliczny rozejm...

Jakub Harańczyk

Zimowe marzenie

Kraków gospodarzem zimowych Igrzysk Olimpijskich w 2022 roku? Brzmi trochę niczym pomysł wariata. A jednak, z taką właśnie inicjatywą wystąpili – znakomita przed laty snowboardzistka, a obecnie posłanka – Jagna Marczułajtis-Walczak, oraz Szymon Krasicki – profesor Akademii Wychowania Fizycznego. Po całkiem udanym przedsięwzięciu, jakim było zorganizowanie w naszym kraju Euro, postanowiono pójść za ciosem. Podjęto działania, mające na celu przyznanie Polsce praw do przeprowadzenia jednej z dwóch największych imprez sportowych świata. Zdania, co do pomysłu, są jednak podzielone. Jedni – a wśród nich politycy i sportowcy – zachwalają ideę organizacji igrzysk nad Wisłą. Drudzy przypominają, że brakuje nam przede wszystkim odpowiednich obiektów do rozegrania niektórych konkurencji, nie mówiąc już o infrastrukturze potrzebnej do zrealizowania tak ważnego przedsięwzięcia.

Wstępne plany dotyczące zimowych igrzysk w Krakowie zakładają, że odbędzie się tutaj zarówno ceremonia ich otwarcia, jak i zamknięcia. W stolicy Małopolski i okolicach miałyby zostać rozegrane także większość konkurencji na lodzie, których w programie jest najwięcej. Pozostałe mogą zostać podzielone m.in. pomiędzy Zakopane (narciarstwo klasyczne, biathlon, snowboard) oraz ośrodek Jasná na Słowacji (narciarstwo alpejskie, częściowo męski hokej). Aspiracje są ogromne, nie zmienia to jednak faktu, że na dziś nie posiadamy ani tras, ani stadionów, na których można te konkurencje przeprowadzić. Dopiero w planach jest budowa krakowskiego lodowiska do łyżwiarstwa szybkiego czy toru saneczkowego pod Myślenicami. Zakopane musi natomiast stworzyć kilkadziesiąt kilometrów tras biegowych, a także zmodernizować istniejące już obiekty, np. skocznię narciarską pod Wielką Krokwią. Niemniej ważna jest przebudowa dróg i kolei (co powinno być zrobione w ubiegłym roku, przy okazji Euro). Nie jestem do końca przekonany, czy dziewięć lat wystarczy, aby to wszystko zrealizować.

Co więcej? Igrzyska olimpijskie wymagają stworzenia odpowiedniego zaplecza dla zawodników. Z racji pomysłu rozgrywania konkurencji w kilku oddalonych od siebie miejscach, mogą powstać nawet trzy wioski olimpijskie: dwie w Polsce (Kraków i Zakopane) i jedna u naszych po-

łudniowych sąsiadów. Teoretycznie – pomogłoby to wielu sportowcom zaoszczędzić sporo czasu. Praktycznie – budowa trzech wiosek pochłonie znacznie więcej kosztów, co nie wyjdzie nam na dobre. Rozwiązaniem może być tutaj planowana rozbudowa sportowego lotniska w Nowym Targu i przystosowanie go do potrzeb ruchu pasażerskiego. Choć taka inwestycja kosztować będzie znacznie więcej, niż trzy oddzielne „osady sportowe”, spełni swoją rolę na czas igrzysk, a ponadto opłaci się w kolejnych latach.

Pomoc przy organizacji największego projektu w historii polskiego sportu już zadeklarowały władze. Ministra Joanna Mucha zapowiedziała, że rząd zajmie się wprowadzie sprawą ewentualnych igrzysk, jednak na konkrety będziemy musieli poczekać kilka miesięcy. Do walki o zimową olimpiadę w Małopolsce chcą włączyć się też byli i obecni sportowcy, jak Adam Małysz, który zamierza osobiście wesprzeć krakowską kandydaturę w MKOl-u. Dla zwykłych kibiców, popierających ideę igrzysk pod Tatrami, przygotowano specjalne strony na portalach społecznościowych.

O tym, kto zostanie gospodarzem zimowych igrzysk w 2022 roku, dowiemy się dopiero za dwa lata. Do tego czasu władze Krakowa i Małopolski muszą zrobić wszystko, aby ich kandydatura została rozpatrzona pozytywnie. Może zdarzyć się tak, że pewnych rzeczy nie uda się wykonać na czas (jak pokazało Euro), jednak im mniej wpadek, tym lepiej. Warto dlatego podpatrzeć, jak z organizacją Igrzysk poradzi sobie za rok rosyjskie Soczi. Dobrze też przeprowadzić wcześniej imprezę mniejszej rangi, jak mistrzostwa świata w narciarstwie klasycznym, o które od kilku lat ubiega się Zakopane. Wówczas wiedzielibyśmy mniej więcej, w czym jesteśmy mocni, a co jeszcze trzeba poprawić.

Uważam, że najlepszą reklamą dla kampanii „Igrzyska w Krakowie” może być coraz lepsza postawa polskich reprezentantów w sportach zimowych. Mamy już solidnych skoczków narciarskich, rewelacyjnie spisujące się ostatnio biathlonistki, a nasz numer jeden, czyli Justyna Kowalczyk, choć za dziewięć lat będzie już na sportowej emeryturze, już teraz może wspierać starania o zimową olimpiadę. W końcu nic tak nie przyciąga i nie działa na wyobraźnię, jak znane i lubiane nazwiska.

Piotr Skwarczyński



Trzynaście wielkich, owianych tajemnicą kopuł, przypominających stację kosmiczną. To znajdująca się pod Krakowem (gmina Alvernia) Alvernia Studios – najstarsza i największa wytwórnia filmowa w Polsce. Miejsce, o dziwo!, mało popularne wśród samych mieszkańców Krakowa, na świecie cieszące się dużą sławą i uznaniem. Stosowane tam nowoczesne technologie, ekipa doświadczonych i kreatywnych fachowców – to niewątpliwy powód do dumy.

W pierwszych założeniach pomysłodawcy futurystycznego „miasteczka”, w wybudowanych halach znajdować się miała główna siedziba radia RMF FM. Ówczesny właściciel rozgłośni – Stanisław Tyczyński (bo o nim mowa) – sprzedał jednak w 2006 r. swoje udziały. Zaryzykował i ruszył z zupełnie innym projektem. Plotki głosiły, że za jego ekscentrycznym pomysłem stoi ukochana – zamilowana w filmie modelka i aktorka Renata Gabryjelska. W polskich realiach wielu wówczas sądziło, że porywa się z motyką na słońce. Tymczasem zainwestowane w pierwszą powojenną wytwórnię filmową w Polsce pieniądze okazały się strzałem w dziesiątkę. Niemożliwe stało się możliwym i „Dream Works” zawitało do podkrakowskiej Alverni. Od tamtej pory wytwórnia po-

szczycić się może licznymi sukcesami, m.in. wyróżnieniem w konkursie Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości, w kategorii „Innowacyjny Projekt-Nowatorskie Rozwiązanie”. Alvernia Studios posiada certyfikat Dolby Premier Studio Certification oraz Truelight Theatre Certification, jest również członkiem programu Kodak ImageCare (co świadczy o niezaprzeczalnej jakości powstających tam materiałów).

We wnętrzu pozbawionych okien kopuł możemy przebiec się do przyszłości. Nowoczesny design pomieszczeń i stosowane technologie powalają na kolana nie tylko miłośników kina czy telewizji. W studiach i laboratoriach praca wre, są one bowiem zaangażowane w rozliczne usługi filmowe, własne produkcje i koprodukcje: filmy fabularne, reklamy, gry komputerowe, projekty muzyczne. Na miejscu organizowane są także koncerty. W Alvernia Studios realizuje się niemal wszystko, co związane z obrazem, dźwiękiem. Wszystko, by zaspokoić zmysły widzów, zapewnić najwyższą jakość rozrywki i kultury. Montaż, korekcja kolorów, restauracja materiałów, przygotowywanie danych do tworzenia cyfrowych kopii kinowych, tworzenie efektów specjalnych, animacja, symulacja-przygotowywanie elementów takich jak ogień, dym, ciecz, ekosystemy tworzące cyfrowe środowiska,



się największym na świecie blueboxem, czyli niebieskim ekranem, na który po realizacji zdjęć z udziałem ludzi nakładane są efekty specjalne. Blueboxy oraz greenboxy używane są przy wielu produkcjach filmowych, a także w programach telewizyjnych, np. podczas prognozy pogody. Prezenterzy nagrywani są na tle niebieskiego bądź zielonego ekranu, na którym później wyświetlana jest mapa. Wśród licznych pomieszczeń wytwórni nie może zabraknąć miejsca do tworzenia przyprawiającej o dreszcze muzyki filmowej. Studio nagrań mieści ogromnych rozmiarów scenę dla stuosobowej orkiestry. Wnętrze może być także zaaranżowane w taki sposób, by zamieniło się w kameralną przestrzeń dla solisty. Ma ono zmienną akustykę, wyposażone

jest w wielki, profesjonalny stół mikserski i światowej klasy instrumenty muzyczne.

Prócz studiów i sprzętów stacjonarnych, wytwórnia zaopatrzona jest również w specjalne kampery filmowe. Są to różnej wielkości samochody ciężarowe, w których wnętrzu znajdują się charakterystyczne, garderoby, a nawet łazienki i kuchnia. Przewożone są nimi także kamery, oświetlenie, rekwizyty i kostiumy. Kampery zapewniają komfortową, dynamiczną pracę na planach filmowych, znajdujących się poza wytwórnią. Załoga Alvernia Studios brała udział w wielu ciekawych, popularnych nie tylko na polskim rynku produkcjach, jak „Essential Killing” Jerzego Skolimowskiego, nominowanym do Złotego Globu „Arbitrage” Nicholasa Jareckiego, czy najnowszym filmie Wojciecha Smarzowskiego „Drogówka”.

Już teraz Alvernia Studios porównuje się do słynnych europejskich wytwórni – Pinewood i Babelsberg. Ciekawostką jest samo powstanie tej architektonicznej perełki. Do wprowadzenia w życie pomysłów Tyczyńskiego zatrudnionych zostało około 20 entuzjastów science fiction, których zadaniem była aranżacja pomieszczeń w takiej właśnie stylistyce. Każdy pojedynczy element wystroju został robiony na specjalne zamówienie. Namiastką klimatu tego fascynującego miejsca może być wirtualny spacer po wnętrzach kopuły. Zakładka „Virtual tour” na stronie internetowej Alverni (www.alvernia.com) umożliwia podejrzenie jak wyglądają poszczególne części wytwórni.

Iga Serwińska

postprodukcja dźwięków. Nawet rekwizyty potrzebne do określonych projektów wykonywane są w tamtejszym warsztacie dekoratorskim. W sekcji efektów specjalnych stosowane są ciekawe techniki do tworzenia produkcji animowanych: motion capture oraz motion control. Motion capture polega na przechwytywaniu ruchów aktora w celu odwzorowania ich na postaciach animowanych (jego ruchy rejestruje kilkanaście kamer). Motion control to kontrolowanie ruchów kamery – zależnie od potrzeb nagrania, powtarzanie ruchów w tym samym tempie, trafiać w dokładnie te same miejsca. Technologie te sprawiają, że oglądane przez nas animowane postacie poruszają się swobodnie, naturalnie.

Studia zdjęciowe, którymi dysponuje wytwórnia mierzą 16 metrów wysokości. Najważniejszym miejscem jest maszynownia, w której znajdują się urządzenia do realizacji całego przebiegu postprodukcji (montowanie scen, wybieranie dubli, dodawanie napisów, efekty wizualne, dźwiękowe, przygotowywanie wersji emisyjnej filmu). Co ciekawe dzięki specjalnym połączeniom w Alverni istnieje możliwość przesyłania sygnałów audio, video z maszynowni wprost do innych studiów, a nawet łączenie się z zewnętrznymi planami zdjęciowymi. Polska „fabryka snów” może pochwalić





Miłość czyli serce nie sługa, ale M jak Mózg

Co prawda zima nie odpuszcza, a z nami wciąż białe, ale coraz intensywniej odliczamy dni do prawdziwej wiosny. Badania dowodzą, że to właśnie z jej początkiem najczęściej myślimy o nawiązaniu flirtów i chętniej otwieramy się na nowe znajomości. Letnie romanse psują nerwy, ale sprawiają frajdę – dajmy więc upust swojej dzikiej fantazji...

Ile razy zastanawialiśmy się, dlaczego to właśnie on lub ona jest wybrankiem/-ką naszego serca. I dla-

czego to z nim lub nią czujemy się tak, jakby świat stanął na głowie, a czas przeciekał nam przez palce? Dlaczego spośród miliona wybieramy właśnie siebie? I uwielbiamy ten stan, i chcemy więcej, i więcej.. Co dzieje się w naszej głowie, że w jednej chwili wszystko wydaje się piękniejsze, jakbyśmy patrzyli przez różowe okulary?

Kiedy pytamy o najbardziej ekscytujące wydarzenie w życiu każdego z nas, zazwyczaj wymieniamy zakochanie,

namiętność, miłość. Dzięki nim odkrywamy siebie i drugiego człowieka. Przeżywamy szczęście, radość, entuzjazm. Ta euforia, motyle w brzuchu, nieprzespane noce... Godziny przesiedziane przy telefonie i plany – w co się ubrać, jak zachować na najbliższej randce. Kiedy wreszcie nadejdzie ta długo wyczekiwana chwila nagle czujemy chwilowy zawrót głowy. Serce zapiera nam dech w piersi, czas zatrzymuje się w miejscu. We dwójkę podejmujemy szalone drogi, opowiadamy największe sekrety, rozmawiamy całą noc, spacerujemy do świtu. Owładnięci upojeniem, nie pamiętający dnia ani godziny.

Dlaczego tak się dzieje? Czym właściwie jest miłość? Jej podstawowa definicja to „pragnienie szczęścia dla drugiej osoby”. Zygmunta Freud opisał zakochanie jako „zahamowane pożądanie seksualne”, inni naukowcy jako seks połączony z przyjaźnią. A wielu z nas po prostu uważa, że jest to stan niezwykły i wyjątkowy, tajemniczy i mistyczny. Stan, którego nie da się wytłumaczyć. Czyżby?

Według seksuologów czujemy się zauroczeni właśnie przez „niego” lub „nią” ponieważ posiadamy tak zwane miłosne mapy. Decydują o nich przyjaciele, rodzina, szkoła. Pewne cechy naszych znajomych wydają nam się przyjemne, inne nie. Wraz z upływem lat wszystkie te wspomnienia układają się w jeden wzór tego, co nas pociąga, a co odpycha. W końcu, kiedy staniemy się dorośli, dzięki takiej mapie wylania się idealny obraz naszej sympatii. Owe mapy miłosne są oczywiście różne u każdego z nas. Niektóre kobiety pociągają garnitur biznesmena, inne władza na stanowisku prezesa czy opiekuńczość w lekarskim wydaniu.

Początek zakochaniu może nam dać również zmysł zapachu. Każda osoba pachnie inaczej. Posiadamy swój własny prywatny „ślad zapachowy”, nasze ciało produkuje najsilniejszy afrodyzjak zapachowy – feromony. Okazuje się, że zapach może wywołać bardzo silne reakcje fizjologiczne i psychiczne, w naszym mózgu znajduje się bowiem pięć milionów neuronów węchowych. Przenoszą one sygnały do tej części mózgu, która jest odpowiedzialna za uczucia wściekłości, nienawiści, ekstazy i rozkoszy. Zapach jest czynnikiem seksualnego pobudzenia. Kiedy nowo poznana osoba okaże się nam atrakcyjna – najprawdopodobniej po prostu lubimy jej zapach. Automatycznie może nas to wprowadzić w stan gotowości do romansu.

Kiedy pojawi się już odpowiednia osoba, ni stąd, ni zowąd wszystko się zmienia: on/ona uśmiecha się, spogląda przez chwilę, a nas ogarnia szaleństwo. Może się ono rozwijać stopniowo lub wybuchnąć w jednej chwili. Zakochanie to cudowny stan – nagle wydajemy się sobie piękniejsi, bardziej seksowni, pociągający. Myśli zaprzęta nam jeden obraz: on/ona. Ogarnia nas ekstaza i szczęście, cera nam promienieje, oczy błyszczą. Wszystko to, doskonale

widoczne dla osób postronnych, dzieje się w nas bez żadnego specjalnego wysiłku fizycznego czy umysłowego. Czujemy, jakbyśmy unosili się kilka centymetrów nad ziemią. Co jest powodem takiego odczucia?

W mózgu zakochanych stwierdza się podwyższony poziom fenyloetyloaminy, czyli związku chemicznego określonego jako amina ekscytacji. Obecność tej substancji wywołuje uczucie radości, szczęścia i euforii. Jest ona naturalną amfetaminą, zatem efekty, jakie wywołuje, są bardzo zbliżone do doznań narkomanów: bezsenności, uniesienia, radości i pewności siebie, przeplatanych stanami smutku i depresji. Dodatkowo pod wpływem hormonów w naszym mózgu reagujemy na osobę obdarzoną przez nas uczuciem w taki sam sposób, jak pod wpływem strachu lub stresu. Szybciej bije serce, pocą nam się dłonie, czujemy suchość w ustach lub czerwienimy się. To wynik działania adrenaliny, która również „uczestniczy” w procesach związanych z zakochaniem. I jeszcze noradrenalina – ta z kolei podwyższa ciśnienie krwi i poziom glukozy, powoduje skurcze naczyń krwionośnych, co zwiększa wrażliwość na dotyk, adaptując nasze ciała do lepszego odbioru pieszczot i pocałunków.

Nasze uczucia niejednokrotnie zdominowane są przez pragnienie bliskości i tęsknotę fizyczną. Gdy intensywność namiętności jest wysoka, przeżywamy pożądanie i podniecenie. Towarzyszy im zazdrość, niepokój oraz niezwykle silna motywacja do połączenia się z obiektem naszej miłości. Potrzebujemy fizycznej bliskości i intymności. Wkracza wówczas oksytocyna. Wiadomo, że u kobiet wpływa na skurcze mięśni macicy podczas porodu oraz produkowanie mleka w piersiach. Może również oddziaływać na popęd seksualny, pragnienie opieki nad dzieckiem, a także uczucia przyjemności oraz rozkoszy w trakcie współżycia. Badania wykazują, że podczas orgazmu poziom oksytocyny wzrasta nawet pięciokrotnie w naszym organizmie.

Z punktu widzenia naukowców miłość jest więc czymś w rodzaju stanu upojenia, znarkotyzowania. Dlatego nieodwzajemniona lub odrzucona może wywołać objawy podobne do abstynencji lub gwałtownego odstawienia narkotyku.

Nie bez kozery zatem Paulo Coelho w jednej ze swoich książek tak zdefiniował zakochanie: „Miłość jest jak narkotyk. Na początku odczuwasz euforię, poddajesz się całkowicie nowemu uczuciu. A następnego dnia chcesz więcej. I choć jeszcze nie wpadłeś w nałóg, to jednak poczułeś już jej smak i wierzysz, że będziesz mógł nad nią panować. Myślisz o ukochanej osobie przez dwie minuty, a zapominasz o niej na trzy godziny. Ale z wolna przyzwyczajasz się do niej i stajesz się całkowicie zależny. Wtedy myślisz o niej trzy godziny, a zapominasz na dwie minuty.”

Katarzyna Białek

Na dobre i na złe

Uczestniczyli w sukcesach swoich klubów, nie odwrócili się od drużyny nawet gdy była na dnie. Jest ich niewielu, ale niewątpliwie każdy z nich cieszy się ogromnym szacunkiem ze strony kibiców, jak i władz klubów, w którym mieli (niejednokrotnie nadal mają) swój drugi dom. W dzisiejszych czasach trudno znaleźć zawodników, którzy oddani są jednemu klubowi przez większość kariery. Jak możemy się domyślić, przyczyną tego jest pogoni za pieniądzem. Zawodnicy idą tam, gdzie więcej im płacą. Na szczęście są jeszcze piłkarze, dla których dobro klubu stoi na pierwszym miejscu i bez względu na to, czy drużyna jest w kryzysie, czy spada z ligi, nie odwracają się od niej i są z nią na dobre i na złe. Do takich zawodników należą:

Ryan Giggs

Środkowy pomocnik pochodzący z Walii, od szesnastego roku życia reprezentuje barwy Manchesteru United. W 2011 roku został uznany za piłkarza wszechczasów tego klubu. Do tej pory rozegrał ponad 600 spotkań i strzelił 100 bramek dla Czerwonych Diabłów. Z klubem 12 razy zdobył Mistrzostwo Anglii, 2 razy wygrywał Ligę Mistrzów, a w 2008 roku zdobył Klubowe Mistrzostwo Świata. Na wyspach wygrał już wszystkie drużynowe trofea. Warto wspomnieć, że podczas swojego pobytu w angielskim klubie nie ujrzał nigdy czerwonej kartki. Pomimo 39 lat na karku, Giggsy nie zamierza kończyć kariery i rozstawać się z przyjaciółmi z Old Trafford.



Francesco Totti

Urodzony w Rzymie napastnik jest nie tylko kapitanem, ale również symbolem włoskiego klubu AS Roma. Il Capitano już ponad 23 lata reprezentuje barwy Giallorossich (żółto-czerwonych). W drużynie z Rzymu rozegrał ponad 500 spotkań i zdobył 215 bramek. Totti stał się drugim najlepszym strzelcem w historii ekstraklasy Włoch. Na swoim koncie ma Mistrzostwo Świata zdobyte w 2006 roku, w 2001 pomógł Romie zdobyć Mistrzostwo Włoch i dwukrotnie sięgał po Puchar Włoch. W sezonie 2006/2007 zdobył Złotego Buta strzelając 26 bramek w lidze. W 2007 roku postanowił oddać się jeszcze bardziej swojemu klubowi i zrezygnował z występów w kadrze narodowej. W tym roku będzie obchodził 37. urodziny, a jako prezent niewątpliwie chciałby awansować ze swoją drużyną do Ligi Mistrzów.



Alessandro Del Piero



Włoch strzelanie goli ma we krwi – w Juventusie Turyn zdobył ich 289. Barwy tego klubu reprezentował ponad 700 razy. Były kapitan Starej Damy nie odszedł z klubu nawet po aferze korupcyjnej, w wyniku której Juventus został zdegradowany do niższej ligi. Z włoskim klubem w sezonie 1994/95 wygrał Ligę Mistrzów, aż 6 razy sięgał po Mistrzostwo Włoch. W 2006 roku, podobnie jak Totti, świętował zwycięstwo na Mistrzostwach Świata. Znajduje się na liście stu najlepszych piłkarzy wszechczasów utworzonej przez Pelé. Wiek robi jednak swoje i Del Piero musiał w 2012 roku odejść z Juventusu (tutaj klub postąpił bardzo niehonorowo wobec 38 letniego zawodnika, który był ze swoją ukochaną drużyną na dobre i na złe). Il Fenomeno Vero aktualnie reprezentuje barwy australijskiego klubu Sydney F.C.

Steven Gerrard

Liverpool od ponad dekady stawia na swojego wielkiego wychowanka. Ten angielski pomocnik, grający na co dzień z numerem 8, ma za sobą 15 wspaniałych sezonów, w których zdobył ponad 150 goli. Z brytyjskim klubem w 2006 roku triumfował w Lidze Mistrzów (wraz z Jerzym Dudkiem, który wywalczył wówczas zwycięstwo w rzutach karnych). Gerro zdobył również dwa razy Puchar Anglii, w 2001 roku sięgnął po Puchar UEFA. Największym indywidualnym osiągnięciem Stevena w Liverpoolu była nominacja do Złotej Piłki w 2005 roku – zajął wtedy trzecie miejsce. The Reds już ponad 20 lat czekają na mistrzostwo Anglii, w ostatnich latach ciężko jest się im zakwalifikować do Ligi Mistrzów. Brak pucharów nie oznacza jednak, że piłkarz nie może spędzić całej kariery w jednym klubie. Najlepszym na to przykładem jest ten 32 letni zawodnik urodzony w angielskim Whiston.



Jarosław Kaszowski

W zestawieniu nie mogło zabraknąć polskiego akcentu. Kaszowski to jeden z nielicznych piłkarzy polskiej ligi, który przez całą karierę wierny był jednemu klubowi. Ten pomocnik przeszedł do historii Piasta Gliwice – z tą właśnie drużyną występował w B-klasie, A-klasie, Okręgówce, IV lidze, III lidze, II lidze i w końcu Ekstraklasie. Ten niecodzienny wyczyn godny jest najwyższego uznania. Dla Piasta rozegrał 300 spotkań i strzelił 70 bramek. W polskiej Ekstraklasie wystąpił w 33 meczach; niestety nie udało mu się zdobyć pierwszego gola w najwyższej fazie rozgrywek. W 2011 roku 34-letni piłkarz zakończył swoją przygodę z Gliwickim klubem, a rok później definitywnie całą piłkarską karierę.



Sebastian Dobrowolski

Siempre Barça!

Barcelona to nie miasto, które wymienia się jednym z obok Paryża i Wiednia jako konieczne do zobaczenia. Jednak po tygodniu spędzonym w stolicy Katalonii nie sposób nie zadurzyć się w oryginalnych budowlach, urokliwych kawiarenkach i pięknych fontannach.

Miasto zachwyca przepychem. Po zmroku, w oczu rzucają się iluminacje świetlne – arterii samochodowych i pieszych, fontann i budynków. Jednak dopiero za dnia Barce-

lona pokazuje pełnię swojej krasy. Najbardziej uderza różnicowanie architektoniczne metropolii. W samym centrum stolicy Katalonii trudno znaleźć dwa podobne do siebie budynki. Nie ma szeregowego budownictwa i wynalazków typu „super jednostki”, ani im podobnych. Nawet jeżeli mają tyle samo pięter i są wykonane z tego samego materiału, każdy zdobi inna arabeska lub wyszukane balustrady (vide dzieła Antoniego Gaudiego).

Główną arterią miasta jest La Rambla. Ta imponująca aleja, ozdobiona platanami, zaczyna się nad morzem przy pomniku Krzysztofa Kolumba, a kończy przy efektownych fontannach na Placu Katalońskim. Jest to najbardziej charakterystyczne miejsce, skąd można rozpocząć zwiedzanie miasta. Można udać się na wybrzeże Morza Śródziemnego, zwiedzić gotyckie kościoły, operę lub oceanarium. Po drodze można nabyć lokalne pamiątki, takie jak: miniatury Sagrady Famillii, bibeloty w stylu Gaudiego i wiele innych. Warto też bez konkretnego celu odbić w boczną uliczkę La Ramblí – na pewno znajdziemy tam coś godnego uwagi, jak choćby kolumny Augusta z czasów rzymskich.

Wizytówką Barcelony jest z pewnością także Sagrada Família – górująca nad miastem niedokończona

świątynia autorstwa Gaudiego. Kościół robi piorunujące wrażenie i weryfikuje naszą wrażliwość na sztukę architektoniczną. Jest budowany nieprzerwanie od ponad 100 lat i z racji oryginalności projektu autora nieprędko zostanie ukończony. Sagrada Família jest archetypem całej Barcelony – oryginalna, niepowtarzalna i nieco ostentacyjna.

Na deser – Camp Nou, stadion klubu piłkarskiego FC Barcelona. Obiekt monumentalny, widoczny już trzy przystanki od stacji docelowej. Futbol w Katalonii zajmuje miejsce szczególne, podszyte dodatkowo lokalnym nacjonalizmem. Za dość wysoką opłatą (23 €) można wejść na murawę, do szatni, sali konferencyjnej, łoży komentatorskiej i wreszcie zwiedzić muzeum. Ilość zgromadzonych w nim trofeów jest olbrzymia, chociaż gabloty są mniej wypełnione niż te w Madrycie, na Santiago Bernabeu. Ciekawostką dla zwiedzających z pewnością będzie duży zbiór archiwalnych multimediów z poszczególnych sezonów oraz sklep, w którym znajdziemy wszelkiego rodzaju klubowe gadżety: od czapek i szalików zaczynając, na bieliznie(!), krawatach(!!) i prezerwatywach(!!!) kończąc. Gigantyczny stadion może pomieścić 98 tysięcy widzów, ale żeby w pełni poczuć jego atmosferę, trzeba wybrać się na mecz.

Z ciekawszych rzeczy do zobaczenia pozostają między innymi położony niedaleko Sagrady Famillii Hospital de la Santa Creu, przypominający budowlę sakralną, oraz wzgórze Montjuïc i Montserrat. Nie sposób też pominąć innych dzieł Gaudiego jak Casa Milà (La Pedrera), Casa Batlló i Parku Güella.

Przy planowaniu wycieczki do Barcelony warto uwzględnić wypad do Figueres, oddalonego o dwie godziny jazdy od centrum. Zobaczymy tam dzieła najbardziej znanego surrealisty XX wieku – Salvadora Dalego. Już z daleka witają nas słynne jaja umieszczone na dachu budynku muzeum. Całość przytłacza natłokiem dzieł, ich uduchowieniem i oryginalnością. Po prostu trzeba to zobaczyć. Tak samo, jak będąc w Wenecji należy przepłynąć się gondolą po kanałach, wysłuchując barkaroli...

Barcelona jest z pewnością warta obejrzenia, gdyż mamy gwarancję, że w żadnym innym mieście nie znajdziemy czegoś równie oryginalnego. Daje się tu odczuć wyjątkowo przyjazną atmosferę – mieszkańcy sami podchodzą pomóc zagubionym turystom. Przeszkodą w zwiedzaniu mogą być tylko tamtejsze ceny. Ale warto, bo dostajemy coś z najwyższej półki.

Jakub Sołtysik



KOFEINA

Co miesiąc zapraszamy czytelników „Mixera” do dyskusji na zaproponowany przez nas temat. Podsluchujemy ich, co mówią, a potem publikujemy ich wypowiedzi. Tym razem odpowiadali na pytanie:



CZY ZJEDLIBYŚCIE MÓZDZEK KURY?

Emila: Zjedlibyście mózdek kury?

Damian: Ja jadłem, smakuje tak jak nóżka z kurczaka.

Ola: Mnie odrzuca sama myśl, sama ta nazwa.

Emila: A ślimaki? Jeszcze lepiej.

Ola: Straszne teraz wymysły z tym jedzeniem. Co jak co, dla mnie najlepsza jest kuchnia wegetariańska.

Od pół roku żywię się tak w pracy. Tofu, warzywa, soja. Zdecydowanie lepiej się czuję po takich produktach.

Emila: Wegetarianizm... hmm, w zasadzie bez ryb mogłabym wytrzymać.

Koza: Eee tam. Student przede wszystkim musi zjeść mięso! A prawdziwy facet je mięso! Zresztą, dużo zachodu z tym wegetarianizmem. Trzeba odpowiednio zbalansować sobie dietę. Ja ryb nie jadam...ale uwielbiam owoce morza. Najlepsze są te małe ośmiorniczki.

Damian: Żona mojego kumpla jest wegetarianką, jego już nawet na to przekabaciła. Ale najgorsze jest, że „hoduje” na tym dzieci.

Emila: Dzieci powinny same decydować, co jedzą.

Ola: Podobna sytuacja jest z wiarą. Nikt się o to małego dziecka nie zapyta. To wszystko są pewne wzorce wpajane przez rodziców.

Koza: I dlatego pary homoseksualne nie powinny mieć dzieci!

Ola: Dlaczego?!

Damian: Koza, co za żonglerka tematami.

Koza: Nawiązuję do tych wzorców. To jest odbieranie dziecku prawa wyboru. Narzucanie pewnych zachowań.

Emila: No właśnie – związki partnerskie. Głośny temat ostatnio...

Koza: Ma to swoje plusy. Kiedy jeden partner umiera, drugi powinien mieć prawo do dziedziczenia jego majątku. Tak jak w normalnym małżeństwie. Prawo do adopcji to jednak już za dużo.

Ola: Lepiej chyba, żeby osierocone dziecko trafiło do pary homoseksualnej niż do domu dziecka?

Damian: Nasze społeczeństwo nie jest gotowe na akceptację takiego sposobu życia. To, czy dane dziecko udźwignie taką sytuację, zależy od jego charakteru. To może być trauma do końca życia.

Koza: Znam paru gejów, ale nie wyobrażam sobie, żeby mieli dzieci. Czytałem badania, że dzieci par homoseksualnych są silniejsze, odporniejsze na wiele rzeczy, ale i tak mnie to odrzuca.

Emila: A co z transseksualistami?

Koza: Znam jedną osobę, która była kobietą, a czuła się mężczyzną. To moja nauczycielka chemii z liceum.

Emila: Zachowywała się jak facet?

Koza: Była obcięta na krótko, ubierała się jak mężczyzna. Po zmianie płci wyrzucili ją z pracy, mimo, że była dobrą nauczycielką.

Emila: Dyskryminacja...

Ola: Dyskryminacja dyskryminacją, ale zwróćcie

Emila Szulczyk
Studentka pierwszego roku
Krakowskiej Akademii,
kierunek Filologia angielska.
Zainteresowania:
języki, podróże, gotowanie.
Marzycielka, uwielbia
spontaniczne sytuacje.

uwagę na to, że sami sobie zaprzeczacie, bo przed chwilą umniejszaliście parom homoseksualnym.

Koza: Wolność słowa.

Ola: Oburzacie się, że kobietę zwolnili z pracy z powodu zmiany płci.

Koza: A ja się wcale temu nie dziwię. Dzieciaki, zwłaszcza w gimnazjum bez umiaru szydzą z takich sytuacji. Szydera ze wszystkiego. Poza tym do końca nie wiadomo, co się z nią stało; wiadomo, że do mojej byłej szkoły, nie z własnej woli, już nie wróciła.

Ola: Tak czy owak, każdy ma prawo do szczęścia.

Damian: No jasne, ale nie wierzę, że nie czułabyś się dziwnie mając dwóch ojców albo dwie matki.

Emila: To już nie chodzi o to, jakbyś się czuła, ale na pewno miałyby to wpływ na Twoją psychikę. Inny ma się kontakt z ojcem, inny z matką. Jeżeli miałabyś dwie matki, jestem przekonana, że podświadomie brakowałoby Ci męskiej ręki.

Ola: Coś w tym jest.

Istnieje schemat, w którym dorastająca bez ojca dziewczyna w dorosłym życiu szuka dużo starszych od siebie partnerów.

Damian: Mówcie co chcecie. Prawda jest jedna. Żyjemy w katolickim społeczeństwie o tradycyjnym modelu rodziny. Miną lata, zanim ludzie zaczną

akceptować odmiennność. Nie jesteśmy drugą Holandią.

Ola: Katolickie społeczeństwo? Ludzie idą do kościoła, płacą za msze, a później wracają do domu i czar pryska: pojawia się przemoc, alkohol.

Emila: Przed chwilą byłaś za tolerancją, a teraz szufladkujesz ludzi.

Ola: Ok, a ilu znasz prawdziwych, praktykujących katolików?

Emila: W zasadzie niewielu... Damian musisz nawet w towarzystwie co chwilę zerkać na facebooka? <śmiech>

Damian: Oj tam...

Emila: Uzależnienie! Wśród nas przynajmniej trzy osoby mają z tym problem.

Ola: O tak, faceBóg to fenomen.

Damian: Oglądaliście film „Social Networks” o powstaniu facebooka? Mark Zuckerberg założył uczelniany portal społecznościowy, do którego mogli się dostać tylko ludzie po otrzymaniu zaproszenia. Wszystko z potrzeby kontaktów międzyludzkich. Faceci z Harvardu widząc fajną laskę zastanawiali się, czy ma faceta, czym się zajmuje. Na takiej stronie mogli wszystkiego się o niej dowiedzieć.

Emila: To trochę jak szpiegowanie <śmiech>

Ola: He he, gdzie zmierza ten świat?

Damian: Dobre pytanie.

Ola: Spójrzmy na dzisiejsze maślaki. My dostawaliśmy na komunie rolki i pieniądze, które później konfiskowali nasi rodzice, a teraz? iPody, iPhone'y, bmx-y... taka sytuacja <śmiech>

Grzegorz Koza Jakubczak
Student drugiego roku krakowskiego AGH-u, kierunek Górnictwo i geologia. Zainteresowania: motoryzacja, muzyka. Otwarty, pozytywnie nastawiony do życia.

Damian: Przyszedł mi na myśl jeden demotywator. Swoją drogą też kultowa stronka. Zdjęcie boiska z podpisem: kiedyś nie było telefonów, a każdy wiedział gdzie się spotkać.

Ola: Piękne czasy. Największym problemem było przebiec z jednego końca osiedla na drugi, żeby oznajmić mamie, że pobawimy się z kolegami o 15 minut dłużej. Później kopnąć jeszcze jeden raz piłkę i znowu przemierzyć tę samą drogę.

Damian: Ja z chłopakami z osiedla miałem ulubione boisko. Któregoś dnia postawili tam metalowe słupki, mieli budować jakiś parking. Oczywiście walczyliśmy o swoje. Wyciągnęliśmy je i zabawa nadal trwała.

Ola: „Chłopcy z placu broni”. Czasy bierek, jojo, pokemonów...

Koza: To była kwestia innego wychowania. Rodzic powinien zawsze pozostać rodzicem, ale dobrze kiedy jest też przyjacielem.

Emila: A miłość?

Ola: Ja wierzę w tą z Disneya <śmiech>. Najważniejsze jest bezpieczeństwo, szczęście i spełnienie.

Emila: I stabilizacja...

Ola: Moi rodzice są ze sobą już bardzo długo, a jednak wciąż im na sobie zależy. Moja mama mówi do taty: „Powiedz, że mnie kochasz, bo Cię uduszę”. A on na to krzykliwym, żartobliwym tonem: „Noo Kocham Cię Irena! <śmiech>”. O to w tym wszystkim chodzi.

Damian: A ja nie mam ideału, ideały są wymyślone przez twórców bajek. Trzeba rozgraniczyć, co jest miłością, co zakochaniem, a co zauroczeniem.

Ola: Zauroczenie jest chwilowe, a zakochanie powoduje miłość.

Damian: Wierzę w miłość, ale nie taką z bajek. Dla mnie najlepszym przykładem pod tym względem są dziadkowie. Zawsze kiedy mój dziadek wraca z pracy, babcia czeka na niego z obiadem, wypatruje go przez okno, a on tylko macha do niej ręką na przywitanie i idzie prosto do kolegów. Babcia w tym czasie cierpliwie na niego czeka, a jak dziadek wraca do domu to biedna wysłuchuje z cierpliwością wszystkich jego opowieści... To jest przywiązanie, które wynika z miłości. Według mnie w dzisiejszych czasach jest mało miłości, a to dlatego, że niewiele osób jest otwartych i szczerych, takich, które pokażą wszystkie emocje.

Ola: Marzymy o facecie, który będzie się nami opiekował, da nam ciepło, a kiedy takiego mamy, stwierdzamy, że jest dla nas „za dobry”.

Emila: Dokładnie, wiele dziewczyn tak ma. Ciekawe czy faceci też...

Damian: Zależy... czasem pociągają nas ułożone, spokojne kobiety, czasem pewne siebie i spontaniczne...

Podsluchiwały: Anna Grońska, Iga Serwińska

Damian Żółwik Sobolewski
Student pierwszego roku Krakowskiej Akademii. Kierunek Dziennikarstwo i komunikacja społeczna. Zainteresowania: sport (przede wszystkim piłka nożna). Zabawny, lubi opowiadać historie ze swojego dzieciństwa.

Ola Chądzyńska
Studentka pierwszego roku Krakowskiej Akademii, kierunek Filologia angielska. Zainteresowania: muzyka, moda. Przyjacielska i wygadana. Zawsze chętna do pomocy.

SZTUKA MIĘSA

Niektórzy traktują eksponowanie martwych ciał jako profanację, inni przypisują mu wartość edukacyjną. Choć wystawa zwłok nasączonych plastikiem budzi wiele kontrowersji, cieszy się znacznie większym zainteresowaniem niż wernisaże dzieł współczesnych artystów.

Ekspонатami wystawy *The Human Body Exhibition* są plastynaty czyli preparaty anatomiczne pozyskane ze zwłok nasączonych płynnym plastikiem. Z pewnością wystawa nie budziłaby takich emocji, gdyby nie fakt, że autorzy prezentowanych eksponatów nie ograniczyli się do prezentacji nudnych i znanych wszystkim doskonale z lekcji biologii przekrojów anatomicznych czy spreparowanych organów. Tym, co naprawdę przyciąga tłumy zwiedzających, są wystawiane na pokaz całe ludzkie zwłoki, w których różny stopień deformacji łączy się ze stylistyką pełną upiornej ekspresji.



W hali „Fabryki”, na krakowskim Zabłociu, można zobaczyć między innymi rozciętą wzdłuż, obdartą ze skóry i rozciągniętą w przestrzeni ludzką postać, dokładnie przyglądając się najdrobniejszym szczegółom jej anatomii. Wiązki poszarpanych mięśni „powiewają” wokół gołeni i przedramion *Biegacza*, wyglądającego jak przekąska uciekająca piranii. *Futbolista* trzyma w rękach piłkę. Może ma

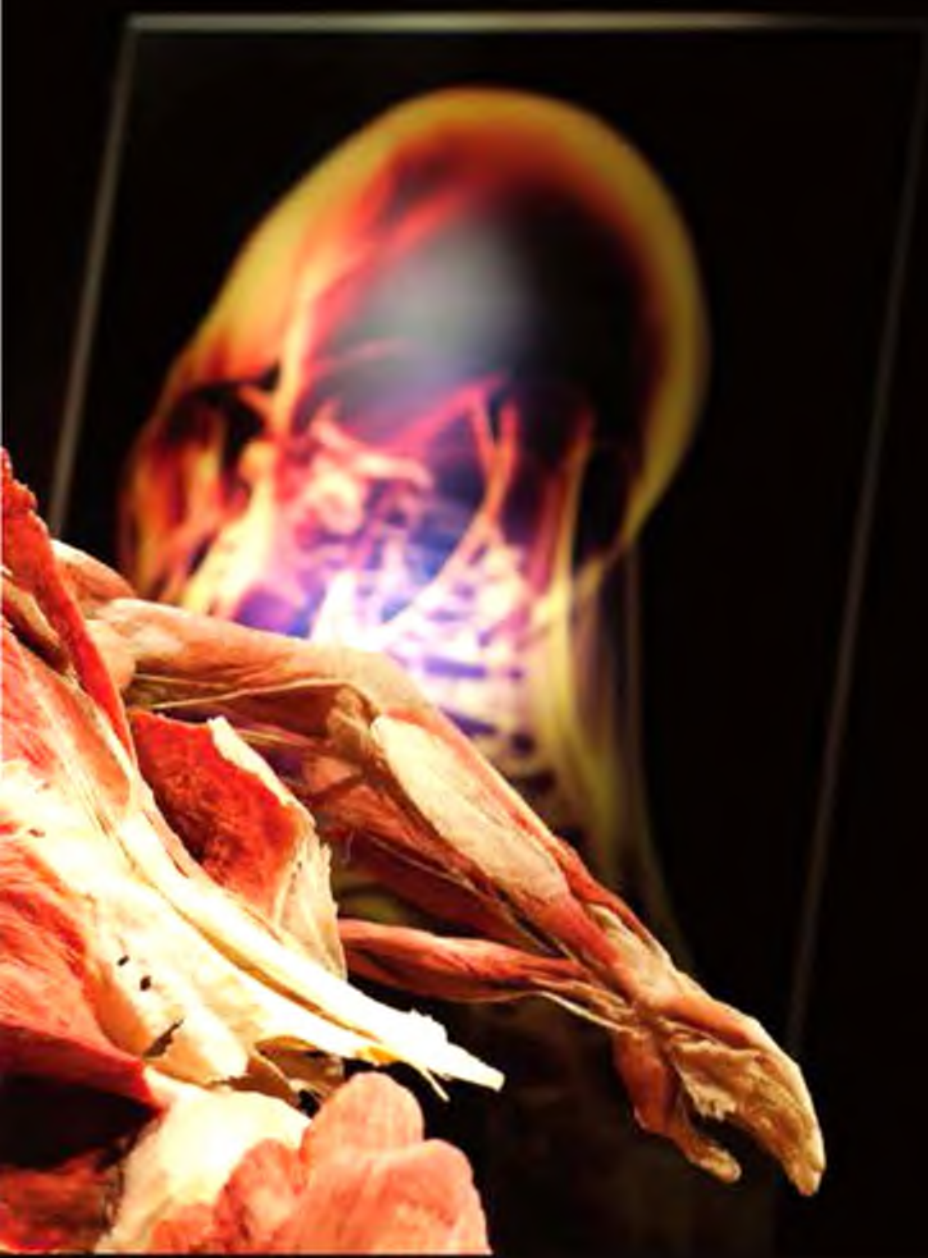
fol. Grzegorz Łyko



to nam przypomnieć, że zdrowie leży w naszych rękach? Dieta, dieta i jeszcze raz dieta. Po obejrzeniu wystawy, raczej wegetariańska.

Sama idea tworzenia kompozycji artystycznych z ludzkich zwłok nie jest nowa. Wynalazcą plastynacji był niemiecki anatom Gunther von Hagens, którego zdaniem, sztuka anatomiczna miała być w prostej linii kontynuacją szlachetnej, renesansowej tradycji artystycznej prezentacji ludzkiej anatomii. Tymczasem wielbicieli sztuki nieco mniej wzniosłej sztuki od razu dostrzegą w całościowych plastynatach doskonały przykład *splatterpunku* – wyjątkowo drastycznej odmiany horroru, której niekwestionowanym mistrzem jest pisarz Clive Barker (*splatter* ma oznaczać dźwięk, jaki wydaje kawał surowego mięsa uderzający o ścianę).

Wiele z prezentowanych na wystawie obiektów, jak chociażby rozsypane, pokawałkowane ludzkie ciało, jest, nomen omen, jakby żywcem przeniesione z kultowego filmu Barkera *Hellreiser*, w którym główną rolę odgrywają oskórowane i anatomicznie zdekompletowane paskudne indywidua. Co nie jest, oczywiście, samo w sobie niczym nagannym – w końcu makabra jest od dawna uznanym i stosowanym chwytem artystycznym, nie tylko przez twórców kultury masowej, ale również przez artystów uprawiających sztukę wysoką. Nikt chyba nie określiłby utworów Edgara Allana Poe mianem literatury lekkiej, łatwej i przyjemnej, ani nie potraktował rozrywkowo *Tytusa Andronikusa* Szekspira. Trudno też narzekać na drastyczność sztuki anatomicznej, skoro do żelaznego repertuaru *body*



artu – kierunku w sztuce współczesnej, polegającym na artystycznym przekształcaniu ludzkiego ciała – należy samo-okaleczenie czy prezentacja tak nieestetycznych czynności jak wypróżnianie się. Doprawdy niełatwo przebić artystę, który wykastrował się na scenie.

Rzecz w tym, że organizatorzy *The Human Body Exhibition* zdecydowanie odżegnują się od zamiaru stworzenia współczesnego teatrzyku grozy. Podkreślają dydaktyczny charakter ekspozycji i usiłują wytłumaczyć stylizację wystawionych ciał względami edukacyjnymi. Trudno jednak nie dostrzec makabreski w pozach obdartych ze skóry *Sportowców*. Zresztą podobnych „perełek”, jakby stworzonych na zamówienie miłośników czwartorzędnych horrorów, jest na wystawie więcej. Cóż, zapewne niełatwo przyznać się twórcom wystawy do zarabiania pieniędzy na sprzedaży taniego horroru; być może jest to również przykład klasycznej mentalności artystycznego dyletanta, który sam nie wie, co naprawdę robi.

Oczywiście, najbardziej makabrycznym i robiącym wrażenie na publiczności faktem jest stworzenie tych groteskowych rzeźb z autentycznych ludzkich zwłok. Jest to z jednej strony przyczyna komercyjnego sukcesu wystawy, z drugiej – woda na młyn dla przeciwników ekspozycji. Autorom wystawy zarzucano nieetyczne postępowanie, naruszanie godności ludzkiej poprzez komercjalizację ludzkich szczątków i zbijanie fortuny na epatowaniu grozą pod płaszczykiem działalności dydaktycznej. Nic dziwnego, że wystawa, gdziekolwiek się pojawia, wzbudza wiele kontrowersji. Jednak organizatorom udaje się obronić dzięki

pozytywnym opiniom uznanych specjalistów w dziedzinie etyki i prawa oraz udowodnieniu, że do plastynacji, zarówno „zwykłej”, jak i artystycznej, używane są wyłącznie ciała dobrowolnych dawców, świadomych wszystkich konsekwencji swojej decyzji. Jednak niesmak dwuznacznego moralnie przedsięwzięcia pozostaje.

Sam fakt potraktowania zwłok jako artystycznego półproduktu stanowi w oczach przeciwników wystawy tak poważny zarzut natury etycznej, że mało kto zastanawia się nad artystyczną wartością sztuki anatomicznej. Tym bardziej, że w sztuce współczesnej trudno doszukać się jasnych kryteriów, które mogłyby stanowić podstawę rzetelnej oceny. Tymczasem chyba najpoważniejszym grzechem wystawy jest po prostu kiczowatość. *The Human Body Exhibition* porównywano już do Disneylandu czy innych podobnych parków rozrywki.

Tak więc niby wszystko jest jasne. Spokojnie można by zaliczyć sztukę anatomiczną do jednej z wielu mutacji kultury masowej i wrzucić ją do jednego worka z kiepskimi horrorami klasy Z, gdyby nie reakcja publiczności – uważna, dojrzała, pełna skupienia i zaangażowania, której często nie potrafią wywołać uznani twórcy sztuki współczesnej, nie wspominając już o tym, że wielu z nich chętnie by się żywcem zaplastynowało, byleby tylko osiągnąć podobną frekwencję. Pomimo tłumów zwiedzających w halach klubu „Fabryka” panuje cisza pełna powagi – nikt nie krzyczy ani nie spazmuje, ale też nikt nie pozostaje obojętny. Na twarzach widzów widać zadumę nad oglądanymi eksponatami, dość niezwykłą, jeśli mieliby być wyłącznie poszukiwaczami taniej sensacji. Najwyraźniej sama świadomość, że zaglądamy do wnętrza żyjącej kiedyś osoby, rekompensuje wszystkie artystyczne niedostatki wykonania. Może potrzebujemy uzmysłowienia sobie wła-



snej cielesności, a przede wszystkim własnej śmiertelności, a plastynaty spełniają rolę współczesnego *memento mori*? Może, oglądając spreparowane trzewia, cieszymy się, że duszy nie da się zaplastynować? A może „tylko” zastanawiamy się, kim lub czym tak naprawdę jesteśmy? Z drugiej strony, w sąsiadującym MOCaKu aż roi się od sztuki współczesnej. Zainteresowanie publiczności jest, delikatnie rzecz ujmując, umiarkowane...

Maciej Saskowski



JOHN LENNON

Słowa były dla Lennona równie ważne jak muzyka. Notował każdy pomysł, myśl, inspirację. Często sięgał po pióro, gdy miał potrzebę komunikacji z drugim człowiekiem. Żył – i zginął – w czasach przed rewolucją internetową (Hunter Davies)

John Winston Ono Lennon – założyciel The Beatles, jeden z najwybitniejszych muzyków w dziejach. Urodził się 9 października 1940 roku w Liverpoolu. Drugie imię nadał mu na cześć ówczesnego premiera rządu brytyjskiego – Winstona Churchilla. Ojciec Lennona, Alfred (Fred) był marynarzem – z tego powodu nie było go przy narodzinach syna. Matka, Julia Stanley, zmuszona więc była wychowywać małego Johna sama, do szóstego roku życia (później opiekowała się nim siostra Julii – Mary, nazywana często Mimi). Wiodąc dość ekscentryczny tryb życia, nie oparła się zdradzie małżeńskiej; jej owocem była oddana do adopcji dziewczynka. Początkowy brak życiowej stabilizacji rekompensowało Johnowi rodzeństwo matki – siostry dające poczucie bezpiecznego wychowania w wielkiej rodzinie.

Od zera do bohatera

Swoją edukację Lennon rozpoczął w Liverpool Art College, wkrótce porzucił jednak myśl o karierze plastyka i kontynuował naukę w Quarry Bank Grammar. Muzyka w jego życiu pojawiła się z chwilą narodzin jej tętniącego energią gatunku zwanego *rock and rollem*. Stała się ona niejako odskocznią po śmierci ukochanego przez niego wujka Georga. Wielki wpływ na decyzję artysty o założeniu zespołu miała muzyka *skiffle*, hołdująca hasłu „zrób to sam”. Zgodnie z takim założeniem grać mógł ją każdy, bez wykształcenia muzycznego, ale i – co bardziej ekstrawagancie – jakiegokolwiek instrumentu. Jak przeczytać można w opracowaniu zebranych przez Huntera Daviesa listów Lennona: „jeśli tylko ktoś potrafił trzeć ręką po tarze do prania (...) był w uprzywilejowanej pozycji”. Sam Lennon nie potrafił grać na żadnym instrumencie, pierwszą gitarę kupiła mu matka.

Spotkanie, które zmieniło oblicze *rock and rolla*

Dziewiczy, nieoficjalny i powstały sam z siebie (niejako pod przewodnictwem Lennona) zespół, nosił nazwę The Quarrymen. Formacja grywała głównie na prywatkach i imprezach towarzyskich. W 1957 The Quarrymen występowali na jednym z festynów, na którym pojawił się też pewien piętnastoletni i niepozorny chłopiec. Miał własną gitarę i zagrał dla Johna wzruszający utwór *Twenty Flight Rock*. Tym chłopcem był Paul McCartney... Po niedługim

czasie do grupy dołączył George Harrison. Lennon twierdził, że w dzieciństwie marzył o byciu dziennikarzem, nie muzykiem. Machina pod szyldem The Beatles ruszyła sierpniem 1960 roku. W jedynym ze swoich pisanych z pasją artykułów, John wspominał: „Pewnego razu byli sobie trzech chłopcy, którym na chrzcie dano imiona John, George i Paul. Postanowili trzymać się razem, bo byli z takich, co to razem trzymać się lubią”. Czwarty Beatles, Ringo Starr, dołączył do zespołu w 1962 roku.

Krótko, ale dynamicznie

W połowie lat sześćdziesiątych Lennon poznał Yoko Ono, awangardową artystkę z Japonii, dla której ponoć zostawił swoją pierwszą żonę Cynthia. To właśnie Yoko pomogła mu rozpocząć karierę solową, była jego natchnieniem. Spotkanie z partnerką zbiegło się w życiu artysty z fascynacją ruchami hipisowskimi, eksperymentami z narkotykami, religią i pacyfizmem. Wszystkie te składniki znalazły odzwierciedlenie w twórczości beatlesów.

W 1970 roku, po wydaniu dwunastu płyt i dziesięciu latach działalności, zespół ogłosił rozpad. W tym czasie Lennon, wraz z chórem przypadkowych osób, nagrywa utwór *Give Peace A Chance*. Utwór stał się hymnem demonstracji antywojennych – tak wówczas, jak i trzydzieści pięć lat później (wojna z Irakiem), kiedy własną wersję nagrał jego syn, Sean. Najbardziej znanym w solowym dorobku beatlesa okazał się krążek *Imagine*. To na nim Lennon zawarł m.in. piosenki miłosne dla Yoko Ono. Piosenka tytułowa uznawana jest niemal powszechnie za jeden z najpiękniejszych utworów w historii muzyki. Warto jeszcze wspomnieć o płycie *Double Fantasy* z 1980 roku, do napisania której „inspiracją” był kryzys w związku Johna z Yoko, połączony z uzależnieniem od heroiny.

40 lat później

W 1980 roku John Winston Ono Lennon, niedługo po premierze *Double...*, zostaje zastrzelony przez swojego fana (Yoko i jego przyjaciele apelują, by ku czci artysty nie wspominać nazwiska zabójcy). Pogrzeb gromadzi blisko 100 tysięcy osób i odbywa się w nietypowy sposób – spotkania na ulicy i śpiewania piosenek Lennona...

Anna Grońska

Maciej Saskowski

Recenzje

THE NEXT DAY

David Bowie

Wszystkie drogi prowadzą do Berlina.

Fajnie jest być Davidem Bowiem. W tym roku skończył 66 lat i podejrzanie młodo wygląda. Z właściwym sobie humorem powtarza: „Po prostu w latach 70. Zrobiłem sobie maskę z własnej twarzy. Od 40 lat jej nie zdejmuję”. Przez cztery ostatnie dekady artysta w imponującym stylu dawał muzycznemu światu wytyczne co do kierunku, w jakim ma ewoluować rock i tym samym zaklepał sobie wyjątkowe miejsce w pantheonie rockowych wizjonerów. Kameleon, który zawsze wie, co w trawie piszczy, więc wszystkich wyprzedza o krok. Jest ikoną, szamanem artystycznej kreacji, który na oczach milionów wielbicieli pisze własną wersję biblijnej Księgi Przemian.

Produkcje Bowiego, w przeciwieństwie do zakalców popełnianych hurtowo przez jego rówieśników, wciąż frapują. *The Next Day* to ponad 50 minut solidnej, znakomicie zaaranżowanej muzyki. Rasowe, rockowe numery (*You Will Set The World On Fire*) zestawiono tu z przejmująco

balladami (utrzymaną w klimacie pełnych smutku songów Petera Hammila *You Feel So Lonely You Could Die* i tytułową *Where Are We Now?*). Tandemu Bowie – Tony Visconti po raz kolejny udało się stworzenie inteligentnego, postmodernistycznego melanzu. Jest to bodaj najbardziej spójny i jednocześnie najsurowszy album artysty od czasów *Low*. Nieco wymuszkane brzmienie poprzednich płyt *Hours* i *Heathen* zostało na *The Next Day* umiejętnie sprowadzone na ziemię. Visconti perfekcyjnie odtworzył tu istotę zespołowego grania, dzięki czemu, po raz pierwszy od dłuższego czasu, Bowie nie wydaje się wystającym o kilka długości przed szereg guru, a integralną częścią kolektywu (nota bene ma przy sobie znakomitych muzyków, wystarczy wspomnieć choćby pianistę Henry'ego Hey'a i bębniarza Sterlinga Campbella). Orkiestra gra więc wybornie. Jednym z najlepszych fragmentów płyty jest, osobiście nawiązujący do geniuszu niezapomnianego *Let's Dance*, *The Stars (Are Out Tonight)*.

Na koniec kilka słów o tekstach. Jest to najbardziej autobiograficzna płyta Davida. Przeważają refleksyjne opowieści o przemijaniu oraz stracie chwil i miejsc, ale mają one budujący wymiar. Choćby singlowy *Where Are We Now?* to zbiór przeżyć i wspomnień, pisanych z perspektywy mieszkańca Berlina, w którym to mieście mieszkał Bowie w latach 70. Poznał żyjących tam ludzi, specyfikę tej metropolii i dlatego duch tego miasta jest w tej piosence, jak i na całym albumie, tak wyraźnie obecny. Płyta jest próbą oddania stanu emocjonalnego i w tym aspekcie ma wymiar nieco „katkowski”. Bowie wydaje się znajdować całkiem sam w obcym mieście, w którym zielsko zarasta już chodniki. W świecie zwariowanych przemian i goniwy informacji człowiek czuje się zupełnie poza nawiasem, jakby nie nadążał za miejscami, w których wciąż mijają go coś ważnego.



DELTA MACHINE

Depeche Mode

Wraca era Depeche Mode.

Przyjrzyjcie się ścianom bloków i klatek schodowych. Na wielu znajdziecie jeszcze (być może już wyblakłe, być może pachnące świeżą farbą) napisy: DM. Dlaczego kult Depeche Mode się utrzymał, choć epoka, z której wyrosł, minęła?

„Depesze” są częścią nielicznej grupy zespołów, takich jak Metallica czy U2, które w nowym tysiącleciu utrzymały gigantyczną popularność, wyniesioną z poprzedniej ery. Dla mnie i dużej części mojego pokolenia, wychowanego u schyłku PRL-u, wciąż są grupa kultową. Wtedy chcieliśmy recepty na wyrażenie swojej odmienności. No i znaleźliśmy – muzykę, ale w równym stopniu image czterech chłopaków z Wielkiej Brytanii. Wydaje się, że na kultowy status DM mają wpływ dwa czynniki. Po pierwsze, depeszowcy są jedyną chyba subkulturą opartą nie na ideologii, ale estetyce. Po drugie, Depeche Mode cały czas są twórczy artystycznie, nieustannie rozwijając swą muzykę. Ich polscy fani, początkowo szpanujący na image DM, rozwijali się duchowo razem z nimi. Nowy album tylko poszerzy ich muzyczne horyzonty.

Delta Machine zawiera wszystko to, co w Depeche Mode najlepsze: dużo metalicznych dźwięków i zgrzytów, dużo nakładających się na siebie syntetycznych brzmień w najprzejdniejszym gatunku. Zespół nie kłania się żadnemu z modnych obecnie nurtów muzyki elektronicznej. Żywe instrumenty śmiało towarzyszą syntezatorom. Kilka utworów to prawie hymny. Każda z piosenek nadaje się na singel, nie ma lepszych i gorszych. Czasem są monumentalne, czasem przestrzenno-kosmiczne, czasem ocierają się o muzykę współczesną. Momentami elektronika ustępuje miejsca analogowym dźwiękom. Nic na siłę, nawet krótkie, mocno eksperymentalne instrumentale nie razią. Muzyka na *Delta Machine* nie jest ani przesadnie melancholijna, czego wszyscy się spodziewali po usłyszeniu pierwszego singla *Heaven*, ani charkotliwie mocna, jak zdarzało się na poprzednich płytach. Jest spokojniejsza, ale tylko jeśli chodzi o tempo i głos Dave'a. Na miano rewelacji zasługują według mnie „starodepeszowy” *The Child Inside*, piękny *My Little Universe* oraz ciężki, niepokojący *Alone*, którego nie powstydziliby się Trent Reznor.

Gdy posłuchacie tych 13 umieszczonych na dysku utworów, już nie dziecięcego synthpopu z pierwszych płyt, lecz softindustrialnych dzieł grupy, których potok zapoczątkował concept-album *Black Celebration*, możecie zrozumieć fenomen tego zespołu. Jak tysiące ludzi na całym świecie, dojdziecie do wniosku, że Depeche Mode są jedyni w swoim rodzaju. I może też poprosicie fryzjera o zrobienie wam Dave'owej szczotki na głowie.



NOWOŚCI

Opracowanie: KINGA SZYDŁO

„UKŁAD ZAMKNIĘTY” reżyseria Ryszard Bugajski PREMIERA: 5.04.2013

Thriller reżysera „Przesłuchania” i scenarzystów „Czarnego czwartku. Janek Wiśniewski padł” z popisową rolą Janusza Gajosa. Oparta na prawdziwych wydarzeniach historia trzech właścicieli świetnie prosperującej spółki, którzy – wskutek zмовy skorumpowanych urzędników: prokuratora (Janusz Gajos) i naczelnika urzędu skarbowego (Kazimierz Kaczor) – zostają pokazowo zatrzymani pod zarzutem działania w zorganizowanej grupie przestępczej i prania brudnych pieniędzy. Inspiracją dla scenarzystów „Układu zamkniętego”, Michała S. Pruskiego i Mirosława Piepki (twórców scenariusza głośnego i chwalonego za realizm dramatu Antoniego Krauzego „Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł”, uhonorowanego Specjalną Nagrodą Jury FPFF w Gdyni) była prawdziwa historia biznesmenów, zmagających się z zarzutami stawianymi przez prokuraturę oraz urząd skarbowy. Wszyscy trafili do aresztu, a ich firmę doprowadzono do upadku. Sprawy prowadzone przeciwko nim zostały po latach umorzone z powodu braku znamion przestępstwa, a przedsiębiorcy otrzymali symboliczne zadośćuczynienia. Aktualny temat i świetny scenariusz, sprawiły, że twórcom udało się zgromadzić na planie doborowe nazwiska. Janusz Gajos, jako skorumpowany prokurator, kolejny raz po pamiętnych rolach w „Psach” i „Przesłuchaniu”, udowodnił, że jest mistrzem kreowania wyrazistych, czarnych charakterów. U boku Gajosa wystąpili, między innymi, Kazimierz Kaczor, Przemysław Sadowski i Urszula Grabowska, wyróżniona główną aktorską nagrodą na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni za kreację w „Joannie”. Za wizualną stronę filmu odpowiada Piotr Sobociński jr., autor zdjęć do „Róży” i „Drogówki” Wojciecha Smarzowskiego. Piosenkę promującą film wykonuje zespół Kult.



„A STATE OF TRANCE 600” Armin Van Buuren PREMIERA: 16.04.2013

Po raz pierwszy audycja „A State Of Trance” pojawiła się w radiu ID&T w marcu 2001 roku. Godygodniowe show DJ'a Armina Van Buurena, w którym prezentuje najnowsze produkcje ze świata muzyki elektronicznej przyniosło mu międzynarodowy rozgłos i wielką popularność. Pomimo tego, że w ciągu ostatnich 12 lat audycja przeszła wiele zmian, to wciąż zachowała swój klimat i wyjątkowość. W każdy czwartek o godzinie 20:00 w fali internetowego radia Digital-ly Imported wsłuchuje się ponad 15 milionów fanów z całego świata. Od 2009 roku odbywa się wielkie tournée celebrujące kolejny 50 epizod kultowej już audycji. Rok 2013 to okrągła liczba 600 i aż 11 lokalizacji, od Meksyku przez Brazylię, Bułgarię po USA i Holandię. Ekskluzywny, pięciopłytkowy box „A State Of Trance 600” to pięć wielkich marek sceny EDM w indywidualnych mik-sach. Łącznie 76 utworów, w tym zarówno nowości jak i słynne klasyki. Armin Van Buuren, ATB, W&W, Rank 1 i Andrzej Rayel zapraszają na klubową ekspedycję!



„HOBBIT: NIEZWYKŁA PODRÓŻ” (EDYCJA SPECJALNA)

**reżyseria Peter Jackson
PREMIERA: 9.04.2013**

Pierwszy z filmowej trylogii – opartej na ponadczasowym arcydziele Hobbit, czyli tam i z powrotem autorstwa J.R.R. Tolkiena – Hobbit: Niezwykła podróż podąża śladami Bilbo Bagginsa, który wyrusza na epicką wyprawę by odzyskać legendarne królestwo Krasnoludów i pokonać smoka Smauga. W drodze Hobbit nie tylko odkryje w sobie odwagę i pomysłowość, ale zdobędzie też pierścień, który wpłynie na losy całego Śródziemia. Hobbit: Niezwykła podróż to największe wydarzenie filmowe od czasu ekranizacji serii Władca Pierścieni.



„SPRING BREAKERS” reżyseria Korine Harmony PREMIERA: 5.04.2013

Wyobraź sobie tydzień, w którym nie obowiązują żadne zasady. Gdy bez hamulców możesz w końcu robić wszystko, co pragniesz. Tydzień, podczas którego złamiesz istniejące reguły nie przejmując się zupełnie konsekwencjami. „Spring Breakers” to opowieść o wyzwolonych i szalonych dziewczynach, dla których głównym mottem życiowym jest dobra zabawa. Ciąg imprez, niewiarygodnych pomysłów i nieposkromionej fantazji sprowadzi cztery ślicznotki w bikini i w kominiarkach, na drogę bezprawia i totalnej rozpusty. Wraz z Jamesem Franco, który gra tu życiową rolę, Seleną Gomez i Vanesą Hudgens przeżyjesz najlepszy melanz w życiu! Kultowy amerykański reżyser Harmony Korine porywa zawrotnym tempem i obrazem, od którego nie można oderwać wzroku. „Spring Breakers” było objawieniem Festiwalu w Wenecji, gdzie „jak żaden inny film, wyjątkowo pogodził publiczność w zachwycie”. (Stopklatka)



„DOM” Gienek Loska Band PREMIERA: 16.04.2013

Nie dalej jak przed rokiem Gienek Loska wygrał z losem świetnym „Hazardzistą”, ale sukces nie stępił jego rockandrollowego pazura. On już nagrał kolejny album. Tym razem zaprasza nas do „Domu”. Album „DOM” to 11 utworów (9 premierowych i dwa covery – „Jednego serca” Czesława Niemena oraz „It's a Man's Man's World” Jamesa Browna). „DOM” jest różnorodną płytą – dzięki tekstom, które pisał między innymi Makar, dzięki nowym ludziom: Łukasz Gołębiowski i Michał Zabłocki, ten sam, którego fani muzyki znają chociażby ze współpracy z Czesławem Mozilem czy Grzegorzem Turnauem, dzięki producentowi – prawdziwemu mistrzowi konsolety – Rafałowi Paczkowskiemu (czuwał nad brzmieniem płyt m.in. Lady Pank, Edyty Bartosiewicz i Grzegorza Ciechowskiego). No i oczywiście wspaniałej naturalności Gienka Loski.



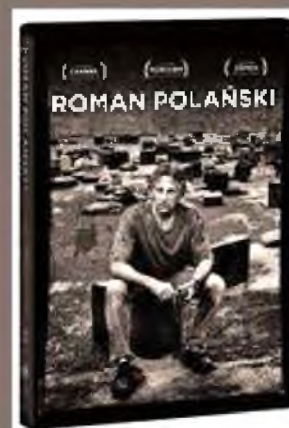
„ABCHAZJA” Wojciech Górecki PREMIERA: 8.04.2013

Abchazja ma swoje terytorium, granice i obywateli. Prezydenta, premiera, parlament i armię. Centralna Komisja Wyborcza organizuje wybory, poczta emituje znaczki. Trzydziestoletni helikopter Abchaskich Linii Lotniczych wozi pasażerów z Suchumi do wysokogórskiego Pschu, a obywatele informują agencja Apsnypress, telewizja, radio, gazety, internet. Wojciech Górecki jest jedną z nielicznych osób, które miały okazję obserwować, jak w ciągu dwudziestu lat rodzi się, rozwija i chyli ku upadkowi abchaskie parapaństwo o spornych granicach i niejasnym statusie. Polska nie uznaje Abchazji, uważając ją za część Gruzji. Tego samego zdania jest reszta świata – z wyjątkiem Rosji, Nikaragui, Wenezueli, Nauru, Vanuatu i Tuvalu. Uznanie Abchazji i coraz liczniejszych państw o podobnej genealogii zrodziłoby dziesiątki nowych konfliktów i wyrzuciło do góry nogami międzynarodowy ład... „Abchazja” zamyka kaukaski tryptyk Wojciecha Góreckiego, rozpoczęty „Planetą Kaukaz” i „Toastem za przodków”.



„ROMAN POLAŃSKI” reżyseria: Andrew Braunsberg PREMIERA: 19.04.2013

„(...) Gdyby miano mi położyć na grobie rolę jednego filmu, chciałbym, żeby to był Pianista...” Roman Polański, fragment wypowiedzi z filmu Roman Polański. Autentyczny, oddający prawdziwe emocje, intymność i klimat wspomnień film. Jedyny w swoim rodzaju, film dokumentalny, który staje się rachunkiem życia. Wywiad-rzeka nie szczędzący bolesnych wspomnień i przeprowadzony z reżyserem przez jego przyjaciół – producenta Andrew Braunsberga i reżysera Laurenta Bouze-reau. Bogate materiały archiwalne ilustrujące wywiad pochodzą z Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych, FilMOTEKI Narodowej i archiwów TVP.



„CZARNOBYL” Francesco Cataluccio PREMIERA: 26.04.2013

Po 1986 roku nazwa „Czarnobyl” nieodłącznie kojarzy się z przerażającą katastrofą reaktora jądrowego. To dzięki niej o małej miejscowości usłyszał cały świat. A przecież Czarnobyl to także symbol poplątanych dziejów polsko-ukraińsko-rosyjsko-żydowskich, zawirowań historii i sąsiedzkiego rewanżyzmu. Francesco M. Cataluccio próbuje odtworzyć latopis wymazany z ludzkiej pamięci przez hekatombę.

ŹRÓDŁA: www.multikino.pl, www.cmpk.pl



24 - 26 kwietnia

II Ogólnopolska Konferencja Mediów Studenckich

Prelegentami będą między innymi:

Marcin Meller



Janina Paradowska



Piotr Mucharski



www.facebook.com/spotkaniemediowstudenckich

www.mediastudenckie.ka.edu.pl

